
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Danuta Tęczarowska – *W kołchozie Ak-Buzat*

Stacja w Dżangistobe to maleńki budynek w stepie, ale muszą tu być niedaleko jacyś ludzie, bo słyszymy muzykę i śpiew, obchodzą święto 1 maja. Żołnierze rozsuwają drzwi a z boku stoi szereg ciężarówek, które zaczynają podjeżdżać pod nasze wagony. Żołnierze każą nam wysiadać „z rzeczami”, każdy wagon do jednej lory. Nie wiedzieliśmy wtedy, że każdy kołchoz (przysiółek) zabierał przydzieloną mu ilość zesłańców. Od przypadku czy szczęścia zależało z jakiego kołchozu podjechała ciężarówka – w niektórych kołchozach podczas pierwszej zimy umarło z głodu 3/4 zesłanych tam Polaków.

Myśleliśmy, że wszyscy z całego pociągu pojedziemy razem. Tymczasem lory naładowane ludźmi i bagażami zaczęły się rozjeżdżać w różnych kierunkach. Nasza lora pojechała w step drogą polną czy właściwie stepową. Nie widać żadnych krzaków czy drzew tylko płaski, suchy step bez żadnych chałup czy osad. Na lorze panuje cisza, nikt nic nie mówi, bo i cóż możemy powiedzieć? – boimy się. Po około dwóch godzinach jazdy lora zatrzymuje się w ste-

pie. Każą nam wysiadać. Dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia. Rosjanin, który nas eskortuje, daje każdemu z nas po 5 rubli i odjeżdża zostawiając nas w stepie, a na nasze wołanie ze śmiechem pokazuje nam szopę, która była tak niska, że nie zauważyliśmy jej. Zrozumieliśmy, że szopa to jest „dom”, gdzie mamy wszyscy mieszkać. Nikt z nas już nie udaje dzielnego, na wszystkich twarzach widać rozpacz. Rozglądamy się naokoło i dopiero teraz widzimy, że niedaleko są jakieś domki, ale tak małe, że ledwo wystają ponad poziom stepu, a z domków tych wychodzą ludzie i idą w naszym kierunku. Nie wiemy gdzie jesteśmy – my nie mówimy po rosyjsku a oni, tylko niektórzy i to bardzo słabo. Porozumiewamy się na migi – zrozumieli nas i powiedzieli „Ak Buzuł” pokazując na swoją osadę i Kazachstan pokazując cały widnokrąg. Jesteśmy więc w Kazachstanie w kołchozie Ak Buzuł, co, jak się potem dowiedziałam, oznacza Białe Ciele. Kazacy są pełni godności, mężczyźni w fufajkach (wątowane kurtki) i futrzanych czapkach z nasznikami, kobiety w białych nakryciach głowy, które spadają z tyłu do ziemi jak welony, spódnice też mają długie do ziemi. Niosą miseczki z mlekiem (jeszcze wtedy nie zdawałam sobie sprawy jak nas ugościli) i podają je dzieciom. Widzę, iż paru starych Kazachów ma łzy w oczach, płaczą nad nami. Młodych mężczyzn tu nie ma. Uświadamiłam sobie, że przedstawiamy żalony widok: kobiety w różnym wieku, dzieci, starzy mężczyźni i tylko paru młodych chłopców a wszyscy brudni, przestraszeni, z garstką bagażu. Jest już późne popołudnie – idziemy zachęceni przez Kazachów, którzy pomagają nam dźwigać walizki i toboły do naszej szopy. Widać, że barak ten został wystawiony parę dni temu, wprost na stepie, bo „podłoga” jest ciągle jeszcze zielona, trawa nie zdążyła pożółknąć. Dach i ściany są zrobione ze starej rdzewiałej blachy. Robimy sobie legowiska na ziemi, z czego kto może i kładziemy się. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek coś jadł. Ktoś ma świeczkę więc śpieszymy się, żeby się jakoś urządzić zanim świeczka zgaśnie. Nikt nie może myśleć o jutrze – jesteśmy wszyscy nerwowo wykończeni, wywiezieni na pustkowie, zdani na łaskę Boską. Czujemy się jakbyśmy „dostali pałką w łeb”.

Z rana zjawiają się znowu Kazacy i na migi pokazują, że możemy od nich „kupić” za nasze rzeczy jaja i mleko. Kupujemy więc z matką jaja, które ucieramy na surowo z cukrem (cukier przyjechał z nami na dnie kosza – schowałyśmy go tam „na zimę” we Lwowie) i jesteśmy zadowolone, że mamy na razie czym żyć. Poza jedzeniem mamy drugi problem: jesteśmy bardzo brudne. Musimy jakoś się obmyć a nie mamy miednicy ani wiadra. Z wodą nie ma problemu, bo przy każdym domu jest studnia. Pomocni Kazacy pożyczają nam wiadra i pokazują na migi, żebyśmy poszły w step i tam porządnie wyszorowały się. Studnie są głębokie i oblodzone (przez cały rok) a woda czysta i dobra. Idziemy więc z matką z wiadrami pełnymi wody i puszką po krabach „Kamczatka” do polewania się w step. Słońce grzeje już silnie a niebo jest niebieskie bez chmurki, więc rozbieramy się do naga i zaczynamy się polewać lodowatą wodą – jakoś nie czujemy zimna, bo chcemy czym prędzej pozbyć się brudu. Mydlimy się i polewamy, ale brud nie schodzi. Mamy „rzepę” na szyjach i na rękach do łokcia. Szorujemy się więc garściami suchej trawy i to trochę pomaga, ale brud ciągle jest. Dopiero po paru dniach, po parokrotnym szorowaniu się mydłem i trawą byliśmy czyste.

Step pachnie macierzanką i piołunem i całkiem nie jest taki płaski, jak się nam na początku wydawało. Ledwo odeszliśmy od naszej szopy, żeby się swobodnie obmyć a już chałupy znikły nam z oczu. Trzeba bardzo uważać, żeby wrócić do Ak Buzuł a nie pójść w step!

Po jakim takim obmyciu się wracamy do naszej szopy, gdzie już kwitnie handel z Kazachami. Polacy zamieniają swoje rzeczy na żywność, to znaczy na jaja i mleko. Największy popyt mają białe cienkie ręczniki, prześcieradła, miednice i garnki. Kazaczki są bardzo łakome na prześcieradła, bo biały welon spadający aż do ziemi to ich tradycyjne nakrycie głowy a materiały na sprzedaż tu nie istnieją.

Czekamy aż ktoś przyjedzie i powie nam co robić – nie może nam pomieścić się w głowie, że mamy sami dać sobie radę, przecież dwie trzecie z nas to kobiety albo z dziećmi albo ze starymi rodzicami. Czekamy i łudzimy się, że ktoś się nami zaopiekuje. Tymczasem na drugi dzień budzi nas o świcie dobijanie się do drzwi i pokrzykiwanie. Do szopy wchodzi Kazach i zaczyna coś mówić łamanym rosyjskim językiem – wreszcie dorozumiewamy się, że jest on „priedsiedatielem”, to jest wójtem Ak Buzał i że przyszedł wygonić nas do roboty. Kazach krzyczy, ale tak kaleczy rosyjski, że nic go nie rozumiemy, ale i tak nikt nie ma zamiaru iść do roboty, nie wiemy zresztą jak ta robota będzie wyglądać... Każdy uważa, że jest albo za stary, albo za młody, albo nie może zostawić dzieci samych. Ja nie mam kłopotu, bo Kazach po dowiedzeniu się, że jestem lekarzem, zostawił mnie w spokoju; pogodził się z moim oświadczeniem, że będę pracować tylko w swoim zawodzie a nie fizycznie. Nie usiłował też wygonić do pracy ani mojej matki ani innych starszych kobiet. Cała ta awantura skończyła się na krzyku tylko... Zdaje mi się, że Kazach usiłował wykonać swój obowiązek tylko, mimo krzyku i „groźnej” postawy robił to bez przekonania.

Trzeciego dnia staje się oczywiste, że nikt nam nie da pomocy ani wskazówek jak się urządzić, żeby móc żyć. Sądząc po Kazachach i ich chałupach wygląda, że panuje tu wielka bieda – mowy nie ma, żeby kołchoz mógł nas wyżywić, sami nie mają co jeść. Nasza starszyzna – to znaczy starsi panowie, robią naradę, co począć dalej. Uważają, że trzeba się dowiedzieć, jak się nazywa i gdzie jest najbliższa miejscowość, gdzie są jakieś władze i pojechać tam, by zażądać pomocy. Starszyzna jest oburzona „co oni sobie myślą, żeby nas tak zostawić”! „Tak nie może być” itd. Niestety nasi starsi panowie ciągle myślą starymi kategoriami. Rada Starych (tak wtedy to czułam) postanawia wynająć Kazacha z wozem i pojechać do tej wsi, która nazywa się Griegoriewka, gdzie jest poczta, Urząd Zdrowia, no w ogóle „Władza”. Cieszę się, że będę miała okazję pójść do Urzędu Zdrowia, tzw. Rajzdrawu (Rejonowy Wydział Zdrowia) i starania się o posadę, ale... okazało się, że starsi panowie nie chcą brać ze sobą żadnych „bab”, chcą pojechać sami i załatwić „naszą sprawę”, bo „tak nie może być”. Wynajęli Kazacha z wozem zaprzężonym w wielbłąda, co było dla nas wielką nowością, gdyż nie spodziewaliśmy się, że można hodować wielbłądy w tym klimacie – i pojechali. Wrócili z rzadkimi minami, bo okazało się, że jesteśmy zesłani do Kazachstanu na dziesięć lat a nie przesiedleni. Jesteśmy „zsylni”, przysłani tu za karę. Przypuszczam, że naszym przestępstwem jest fakt, że większość z nas należy do tzw. inteligencji. Osądziliśmy naszą sytuację całkiem źle... Jeżeli chodzi o przeżycie, to mamy sami dać sobie radę, mamy pracować, bo „kto nie pracuje ten nie je”. Powiedziano naszym panom, że „nada rabotat” (trzeba pracować) w kołchozie Ak Buzał, a w jesieni otrzymamy należną nam część zbiorów, zależnie od ilości przepracowanych dni, tzw. trudodni. A teraz jest maj... Przez cztery miesiące mamy żyć powietrzem i „rabotat”...

Codziennie rano przedsiębiorca budzi nas krzykiem i pogania do roboty, a ponieważ krzyczy coraz więcej w końcu paru młodych chłopców i dziewcząt nie może dłużej wykręcać się. Jestem świadkiem pierwszego ich wyjazdu „na roboty”. Wyglądało to tak: o świcie zbudził nas krzyk przedsiębiorcy i nasi „robotnicy” wyszli z szopy i poszli do punktu zbornego. Tam usiedli i czekali na furę, która miała ich zawieźć na pole. Czekali dwie godziny aż pojawił się wóz zaprzężony w woły, które ruszyły żółtym krokiem. Opowiadali nam potem, że jazda trwała około półtorej godziny a praca była lekka – plewienie i okopywanie. Nie było pośpiechu, każdy pracował jak chciał i nie było ważne ile się zrobiło, ale było ważne, żeby „coś” robić, żeby nie siedzieć beczynnie. Na odpoczynek były długie przerwy i raz dostali mały posiłek. Nasi „robotnicy” wrócili do Ak-Buzal około dziesiątej wieczorem w doskonałych humorach, opaleni i wypoczęci po blisko 2-godzinnej jeździe drabiniastym wozem przez step, w chłodzie i przy księżycu. W tym wypadku woły ciągnące wóz z „wolim pośpiechem” dodały uroku całej wyprawie. Przyszli do naszej szopy i zabrali się do jedzenia, które przygotowały ich matki i siostry z prowiantów otrzymanych „na zamianę” od Kazachów. Tak „pracowali” kolchozy kazachskie. Nie dziwota, że panowała u nich nędza, gdyż zbiory były tak marne, że nie mieli co jeść.

Musimy się jakoś tu urządzić, nie możemy ciągle „mieszkać” w tym baraku, spać na ziemi i siedzieć w kucki i koczować w gorszych warunkach niż skauci na wycieczce. Wszyscy zaczynają zastanawiać się, czy nie byłoby lepiej wynajmować izby od Kazachów i podzielić się na małe grupy. Uważam, że musimy to zrobić, gdyż w baraku nikt nie przeżyje zimy. Jeżeli chodzi o mnie to mam nadzieję, że wyrwę się z Ak-Buzal przed zimą, że zatrudnią mnie jako lekarza. Ponieważ nie mam pieniędzy na wynajęcie Kazacha z furą postanawiam iść sama piechotą do Gieorgiewki. Do Gieorgiewki jest około 15 kilometrów, więc żeby wrócić tego samego dnia muszę zrobić 30 kilometrów, ale jestem dobrym piechurkiem i wiem z doświadczenia w górach, że „lekko” mogę robić 40 km dziennie. Pytam się na migi Kazachów o drogę – choć już znam parę rosyjskich słów, ale to mi mało pomaga, bo Kazacy też nie umieją mówić po rosyjsku. Jakoś zrozumieli o co mi chodzi i posługując się pojedynczymi słowami i gestami wytłumaczyli mi jak dostać się do Gieorgiewki. Wskazówki ich skrętnie zapisałam sobie, żeby nie zgubić się w stepie. Szeroka droga koło kolchozu Ak-Buzal zaraz po wyjściu z przysiołka gubi się i zostaje tylko słabo udeptana ścieżka, która też potem znika, ale mam iść w tym samym kierunku na przełaj przez step aż zobaczę kurhan (zdaje się, że jest to miejsce pogrzebania kogoś bardzo ważnego w przeszłości), który mam obejść z prawej strony, potem na lewo itd. itd. Okazało się, że Kazacy dali ściśle i dobre instrukcje, ani razu nie miałam wątpliwości, że dobrze idę. Wyszłam bardzo wcześnie rano, było chłodno a lekki wiaterek pachniał macierzanką i piołunem. Byłam zupełnie sama, naokoło mnie bezbrzeżny step, a nade mną kopała nieba; czułam się lekko, zupełnie oderwana od rzeczywistości. Gdyby nie okoliczności, które mnie do tego skłoniły, to spacer ten byłby dużą przyjemnością. Na początku mojej wyprawy miałam wątpliwości czy dobrze zrobiłam wybierając się w step sama, ale jak tylko wskazówki Kazachów zaczęły się sprawdzać nabrałam otuchy i w dobrej formie doszłam do Gieorgiewki o 10 rano, zadowolona ze swojego wyczynu.

Gieorgiewka jest wsią rosyjską i ciągnie się wzdłuż drogi Stienki Razina na przestrzeni paru kilometrów. Chałupy są tu wyższe, pobielane a koło chałup warzywne ogródki – widać, że panuje tu porządek i zamożność (względna ... na

stosunki kazachstańskie). Wzdłuż drogi widzę, po raz pierwszy w Kazachstanie, drzewa – topole, które szumią na wietrze jak na polskiej wsi. Zrobiło mi się ckliwo na sercu. Oprócz głównej drogi jest parę innych „ulic” gdzie mieszkają różne grupy Rosjan. Jest osiedle byłych „zsylnych” (zesłańców z carskich czasów, gdzie obecnie ich dzieci są już tu wolnymi obywatelami, tu się urodzili, pozakładali własne rodziny i uważają Kazachstan za swoją ojczyznę. Osobno jest osiedle byłych dobrowolnych przesiedleńców, którzy zwabieni urodzajnością ziemi przyjechali tu za carskich czasów a teraz ich dzieci i wnuki też czują, że Kazachstan to ich „rodzinny dom”.

Opowiadała mi stara Rosjanka, że była to ziemia mlekiem i miodem płynąca. Zboże (pszenica) rosło prawie bez uprawy, gdziekolwiek upadło ziarno, a niezmierzone stopy wypasały niezliczone ilości bydła. Widzę teraz na własne oczy tę ziemię czarną jak aksamit. Naokoło Gieorgiewki leżą uprawne pola, niektóre już się zielenią, niektóre wyglądają jak czarne pasy. Uprawiają tu ziemniaki i pszenicę. Widać, że Rosjanie pracują na roli i mają dobre zbiory. Gieorgiewka jest zamożną wsią!

Idę do Wydziału Zdrowia (Rajzdrawu) i dowiaduję się, że Naczelnika nie ma. Przyjmuje mnie starszy dystyngowany Rosjanin Iwan Siemionowicz, zsylny. Iwan Siemionowicz był za carskich czasów urzędnikiem w Moskwie. Został aresztowany przez bolszewików i po paru latach więzienia zesłany do Gieorgiewki. Syn jego pozostał w Moskwie i studiuje na Uniwersytecie, żona umarła, gdy Iwan Siemionowicz siedział w więzieniu. Iwan Siemionowicz jest smutny i zastrachany, rozumie moje położenie bardzo dobrze, współczuje mi i chce pomóc. Daje mi nadzieję, że dostanę posadę, bo jest brak lekarzy, ale muszę poczekać aż wróci Naczelnik. Każe mi przyjść znowu za dwa tygodnie, obiecując, że porozmawia o mnie z Naczelnikiem i że zrobi co może, żeby mnie zatrudniono. Wierzę mu, bo jego wygląd i zachowanie budzą zaufanie. Obiecuję przyjść znowu za dwa tygodnie.

Na poczcie nadaję list do męża, do niewoli, z moim nowym adresem i list do brata męża do Lwowa. Po drodze widzę rozmieszczone w paru miejscach duże kolorowe plakaty z podobizną polskiego szlachcica, który depta głowę polskiego chłopca. Napisu nie mogę przeczytać, bo jest po rosyjsku, ale obrazek mówi sam za siebie. Cóż to za wspaniała organizacja, żeby wysłać przed nami tu, na to bezludzie, plakaty nastawiające tutejszą ludność przeciwko nam! Ale co mnie strasznie śmieszy, to to, że ten szlachcic na plakacie jest po prostu podobizną pana P!! Ta sama postawa, ten sam brzuch, te same rysy, te same wąsy i ten sam koloryt. Nie dziwię się teraz, że pan P. wrócił z wyprawy do Gieorgiewki z bardzo rzadką miną; nie było mu pewnie przyjemnie zobaczyć swoją własną karykaturę i to jeszcze w takich okolicznościach. Tak to mu los oddał za to, że nie chciał wziąć ze sobą do Gieorgiewki „baby”...

Po nadaniu listów odpoczęłam sobie trochę siedząc w kucki pod ścianą poczty i zjadłam kawałek suchego chleba, zaoszczędzonego jeszcze w wagonie na taką potrzebę. O 5 po południu zaczęłam drogę powrotną do Ak-Buzał. Spieszyłam się, żeby zająć zanim zapadnie noc, ale noc zapadła zanim doszłam do naszego kolchozu i tylko szczekanie psów wskazywało kierunek. Nareszcie doszłam do chałup, ale nie mogłam znaleźć naszej szopy. Nie miałam laski czy kija, aby się opędzić od psów więc starałam się obchodzić je z daleka. Wreszcie musiałam zapytać kogoś o drogę i weszłam na podwórze jednej z chałup, gdzie

rzuciło się na mnie sześć czy siedem olbrzymich psów, które powaliły mnie na ziemię. Na mój krzyk i wołanie o pomoc Kazacy wybiegli z izby i odwołali psy. Byli wyraźnie przestraszeni, ale nic mi się nie stało – żaden pies mnie nie ugryzł. Stało się to tak prędko, że nawet nie miałam czasu bać się. Kazacy hodują psy na futra. Z psich skór robią czapy i rękawiczki. Żeby nie psuć skór wieszają je.

Dotarłam nareszcie do naszej szopy, starając się obchodzić chałupy i szczekające psy. Gdy zobaczyłam światło (z jednej świeczki) w naszym baraku, poczułam się bezpiecznie „w domu”. Ten mój „dom” chociaż miał dach z zardzewiałej blachy i podłogę z trawy, ale tam była moja Matka i można było położyć się spać. Jak przyjemnie było powrócić z Gieorgiewki do domu!

Wszyscy czujemy, że trzeba nasz barak opuścić i jakoś urządzić się inaczej. Umawiamy się z Kazaczką, że wynajmie nam (za nasze rzeczy) jedną izbę, do której wprowadzimy się we trzy rodziny. Mebli żadnych nie ma, więc rozkładamy nasze walizy na ziemi, śpimy pokotem.. Oprócz mojej matki i mnie zamieszkali tu państwo B., z którymi zawarłam znajomość w wagonie, i żona notariusza z „dziwną” córką panną Zosią. Nasza gospodyni jest bardzo ponura. A może jest tylko smutna? Na migi mówi nam, że jej męża nie ma w domu. Może siedzi w więzieniu? W środku nocy budzi nas hałas i głośna rozmowa. Słyszymy parę męskich głosów, które są podniesione i wyraźnie złe. A nasza Kazaczka odpowiada cicho i spokojnie. Mówią bardzo szybko i dużo – nie rozumiemy ani słowa i jesteśmy przerażeni. Wszyscy przygotowujemy się na najgorsze, może chcą nas zabić? W naszych walizkach mamy „skarby”, jak na tutejsze warunki, a naszym „zniknięciem” nikt nie zainteresuje się... Modlimy się. Jesteśmy zupełnie bezradni. możemy tylko czekać co dalej będzie. Trwało to około godziny i mężczyźni wyszli. Nigdy nie dowiedzieliśmy się o co chodziło.

Chleba nie ma, ale można dostać czarną mąkę, z której robimy kluski; gotowanie ich staje się problemem, gdyż nie ma opału żeby napalić w piecu, a nie możemy spodziewać się, żeby gospodyni dała nam swój kiziak. Kiziak to wyschnięty nawóz krowi, który zbiera się na stepie. Na zimę robi się ze świeżego nawozu specjalną mieszankę, która paląc się daje tyle samo ciepła co drzewo, ale obecnie – w lecie – gotuje się na ogniu z wyschniętego nawozu tylko. Trzeba iść w step i przynosić sobie opał do ugotowania jakiegoś posiłku. Wybieramy się z workami i poszewkami na poduszki, we trzy rodziny. Miejscami „zbiór” jest bardzo obfity, miejscami trzeba długo chodzić, żeby znaleźć wyschnięty „placek krowi”. Niektóre „placki” leżą tu już długo i przerasta przez nie trawa – te trzeba kopać i to silnie i umiejętnie, żeby odskoczyły (potem nabrałam wprawy i zielonejące placki jednym kopnięciem odrywałam od ziemi). Po powrocie do naszej izby porównujemy, ile kto przyniósł kiziaku. Bardzo „stylowo” wyglądaliśmy: każdy z nas z workiem na plecach... Państwo B. i ja z matką nachodziłyśmy się dużo po stepie, ale panna Zosia cieszy się, że znalazła bez trudu dużo kiziaku w rowie niedaleko domu. Wysypuje z dumą swój worek i widzimy, że to nie krowi a ludzki nawóz... Nikt z nas nie miał serca, żeby jej to powiedzieć. Trochę ją to usprawiedliwiało, że miała bardzo krótki wzrok. Uśmieśliśmy się co niemiara – naturalnie za plecami panny Zosi.

Panna Zosia w ogóle ma ciągle pecha: poszła w step (tym razem nie do rowu koło domu) zbierać kiziak i spotkała krowę, która pasła się spokojnie, ale na widok człowieka zaczęła ku niej iść. Panna Zosia przelekła się i zaczęła iść coraz szybciej a potem biec. Naturalnie krowa cały czas za nią. Przybiegła przerażona i zadyszana, ledwo uciekła od ... byka – jak jej się zdawało.

Matka panny Zosi jest bardzo oszczędna. Mają jeden garnek, do którego wrzucają wszystko co mogą dostać, a po gotowaniu nigdy garnka nie myją „bo szkoda każdej odrobinki”... Siedzą obydwie na swoich walizkach i ciągle w nich grzebią, szczególnie w nocy. Ciągle coś przekładają i mówią do siebie szeptem, co jest bardzo krepujące w tej ciasnocie. Nie można z nimi się żyć jak z państwem B. Właściwie to mi ich żal.

Ciągle żyjemy z zamiany naszych rzeczy na żywność. Oprócz prześciera-
deł i ręczników duże powodzenie mają pizamy i herbata... o ile ją kto ma. Herbatę mierzy się szczyptami. Dostajemy za to jaja, mleko, kartofle i czasem czarną mąkę, wszystko w bardzo małych ilościach, albo „na raty”, np. szklankę mleka dziennie przez parę dni. Raz dostałam kawałek słoniny, która bardzo przydała mi się, bo matka mojej gospodyni wyciągała mi z garnka gotujące się kartofle, więc aby jej to uniemożliwić wrzucałam do kartofli kawałek słoniny. W ten sposób moje kartofle stawały się dla niej, jako muzułmanki „trefne” i przestała je podjadać. Żał mi jej było, że tak „zanieczyściłam” wieprzowiną jej dodatkowy pokarm i że wykorzystałam jej przepisy religijne, ale nie mogłam z nią dzielić się naszymi bardzo skromnymi posiłkami. Nudziła nas też ciągle o herbatę i trudno jej było odmówić, gdy widziała, że same pijemy. Zaraz w pierwszych dniach pobytu zorientowałam się, że Kazacy piją herbatę „czaj” po kazachsku, nałogowo. Oddadzą ostatni kawałek chleba za herbatę.

Piece Kazachów są bardzo mądrze zbudowane, mają ściany z gliny, a za blat służy duży kawałek blachy, tak, że piec ogrzewa izbę a na blasze można gotować. W zimie w chałupach kazachskich jest bardzo ciepło, ale w lecie nie używają pieców wewnątrz domu, bo byłoby za gorąco. Budują szybko i dobrze piece przed domami, które nie wiem dlaczego, ciągle przenoszą; jednego dnia zjawia się piec w sieni, potem go burzą i budują przed domem, żeby za parę dni go opuścić i wybudować o parę metrów dalej. Węgiel ani drzewo tu nie istnieje, pali się wysuszonym nawozem krowim a do rozpałki używa się wyschnięty nawóz cielęcy, który rozpała się bardzo szybko i pali się niebieskim płomieniem jak spirytus. Do bardzo szybkiego ogrzania pieca używa się „karahanika”. Są to wysuszone na białą małe krzaczki, które w jesieni wiatr niesie po stepie i obija gałązki tak, że robi się ażurowa biała kula, za którą trzeba biec, żeby ją złapać. Tych krzaczków nie było w naszej okolicy, rosły gdzieś daleko i dopiero jesienią wiatr przynosił je w postaci paliwa. Widziałam jak Kazaczka paliła w piecu: siedziała w kucki na ziemi i musiała się spieszyć, żeby nadążyć z dokładaniem gałązek, które natychmiast zapalały się z trzaskiem niebieskim płomieniem, wydając dużo ciepła. Za kwadrans piec był tak gorący, że nie można się było go dotknąć.

Mieszkanie we trzy rodziny w jednej izbie jest bardzo niewygodne. W nocy, ponieważ śpimy pokotem, nie można przejść, w dzień nie ma gdzie położyć rzeczy więc siedzimy na nie rozpakowanych walizkach.

Nie mam pewności czy i kiedy dostanę pracę w Georgiewce, więc muszę się przygotować na ewentualne spędzenie zimy w Ak-Buzał. Postanawiamy rozłączyć się. Ja z matką wynajmujemy izbę u starego, dostojnego Kazacha. Nasz gospodarz jest pełen godności – nie dotyka kiziaku gołymi rękami a wkłada skórzane rękawiczki, pewnie uszyte z psiej skóry i pokazuje nam na migi, że kiziak to rzecz nieczysta. Mam wrażenie, że współczuje nam i chce pomóc.

Zaraz pierwszego wieczoru zaprasza nas na kolację i traktuje jak ważnych gości. W dużej izbie stoi na środku okrągły niziutki stół a na nim wszystko

co Kazacy mają najlepszego: placki chlebowe upieczone na blasze, jaja ugotowane na twardo, w miseczce biały ser, śmietanka, którą widziałam przedtem jak Kazaczka zbierała dłonią z kwaśnego mleka ocierając dłoń o brzeg miseczki... Żadnych siedzeń nie ma. Zasiadamy wszyscy w kucki naokoło stołu, a ponieważ moja matka ma trudności z siedzeniem na ziemi, więc Kazacy przynoszą jej poduszkę, która zresztą niedużo jej pomaga, bo z powodu reumatyzmu nie może zgiąć kolan. Jedzenie było bardzo obfite a konwersacja na migi z pomocą paru zruszczonych polskich – jak sądziliśmy wtedy – słów i wszystko byłoby dobrze gdyby nie karakony... Gdy zrobiło się ciemno gospodyni zapaliła małą naftową lampkę i postawiła na stole. Nie wiem czy do światła, czy oślepienie światłem, ale z sufitu zaczęły spadać na stół karakony. żółte, biegające, obrzydliwe, a nasza gospodyni, uważając to widocznie za zjawisko normalne, strzepuje je niedbale ręką na ziemię. Poczuliśmy się bardzo nieswojo.

Po przyjęciu idziemy z matką do naszej izby, gdzie nie ma żadnych mebli, ale stoją dwa żelazne łóżka z siennikami wypchanymi sianem. Wydobyliśmy z naszego kosza prześcieradła i kołdry i szczęśliwie, że pierwszy raz od naszego wywiezienia będziemy spać w łóżkach, ułożyliśmy się do snu. Nasze „szczęście” nie trwało długo – ledwo zgasiliśmy lampkę usłyszeliśmy jakiś dziwny szmer i szum a po zaświeceniu lampki zobaczyliśmy, że całe ściany i sufit roją się od karakonów i pluskiew. W łóżkach znajdujemy pluskwy a od czasu do czasu spadają na nas z sufitu karakony i „nerwowo” uganiają po pościeli. O spaniu nie ma mowy... Proszę matkę, żeby zaszyła mnie w prześcieradło, żeby przynajmniej robactwo po mnie nie łąziło, ale i tak nie mogę spać, bo w prześcieradle jest bardzo gorąco i duszno. Przesiedzieliśmy ubrane przy lampce całą noc.

Musimy na gwałt szukać nowego pomieszczenia, bo nie możemy spędzić tu drugiej nocy. A co i jak powiedzieć naszemu gospodarzowi? Jak możemy go obrażać za jego gościnność? Nie zrozumie, że boimy się i brzydzymy robactwa. Nie miałyśmy wyboru. Wypowiedzenie przyjął z godnością, ale pytał się dlaczego opuszczamy jego dom i oddał nam zadatek bez naszego upominania się. Było mi bardzo a bardzo nieprzyjemnie i przykro.

Przeprowadziłyśmy się do Ajszy. Męża jej nie ma w domu i chałupa jest stosunkowo obszerna, więc bardzo chętnie wynajęła nam izbę. Z dużej sieni rozchodzą się w różnych kierunkach kręte korytarzyki prowadzące do izb mieszkalnych. Korytarzyki nie mają okien, są ciemne a izby mieszkalne mają drzwi zamykające się na bardzo skomplikowany drewniany zamek. Nie mogłam tego zamka otworzyć dopóki mi nie pokazali jak. System korytarzowy jest mądry, bo zapobiega dostaniu się do izb zimna w zimie, a upału w lecie. Robactwa na razie tu nie widać.

Dali nam do naszej izby dwa żelazne łóżka z workami wypchanymi sianem zamiast materaca. Wprowadziłyśmy się więc tam. Postawiłyśmy kosz na honorowym miejscu i służył nam jako stół, spiżarka, półka itp. Na drugi dzień rano patrzę na nasz kosz i oczom swoim nie wierzę: z każdej szparki w plecionce kosza wystają dwa małe ruszające się wąsiki – karakony powłaziły do kosza i zadomowiły się w nim! Wyciągnęłam kosz przed chałupę i biłam patykiem i choć wytrzęsłam część karakonów, jednak nie wszystkie dały się usunąć. Szczególnie te mniejsze pochowały się i nie można było ich wygonić nawet trzęsąc i rzucając koszem o ziemię. Wobec tego zaciągnęłam nasz kosz do rowu (nawadniającego) z wodą, zatopiłam w najgłębszym jak mogłam miejscu i usia-

dłam na nim. Tak przesiadziałam w wodzie przeszło godzinę i potopiłam karakony. Kosz był czysty! Sama się śmiałam z siebie, bo musiałam bardzo śmiesznie wyglądać siedząc w wodzie na koszu.

Ciągle zamieniamy nasze rzeczy za jedzenie, zwykle „sprzedajemy” je na raty, bo Kazacy nie mają dość produktów i sami żyją z dnia na dzień. Jest to wynikiem tutejszej gospodarki; każdej rodzinie wolno mieć jedną własną krowę, która pasie się na stepie z kołchoźnymi krowami, więc np. mleka nigdy nie mają wystarczająco i jeżeli chcą coś od nas „kupić” to płacą nam mlekiem, codziennie po jednej szklance przez umówioną ilość dni. Za prawo wypasania krowy na stepie i za usługi kołchoźnego pastucha każda rodzina musi oddać kołchozowi pewną ilość mleka – nie przelewa się im...

Wypasanie krów jest zorganizowane: po wydojeniu krowy rano idą na cały dzień w step i przed zachodem słońca wracają do domu, gdzie się je znowu doi przed nocą. Wygląda to bardzo malowniczo: rano pastuch kołchoźny wyprowadza na drogę stado krów kołchoźnych, do których z każdego domu dołączają się krowy prywatne. To samo dzieje się wieczorem, gdy wracają do wioski ze stepu – z ogólnego stada po drodze każda prywatna krowa odłącza się od stada i idzie do swojej obory, bez poganiania. Krowy są tak wytresowane, że jak tylko z daleka posłyszają rano ryk zbliżających się krów kołchoźnych, natychmiast same opuszczają stado.

Prócz mleka od swojej krowy każda kazachska rodzina ma trochę kartofli i mąki. Nie mogą trzymać dużo kur, bo nie mają ich czym żywić, więc o jaja jest też trudno. Trzeba dodać, że w tym klimacie przez sześć zimowych miesięcy krowy nie doją się, a kury nie znoszą jaj.

Jest czerwiec i panują upały a noce są chłodne, krótkie i tak jasne, że można czytać na dworze o północy. Zrobiło się za gorąco, żeby gotować w domu i Kazacy budują piece na dworze przed domami. Pouczają mnie, jak się do tego zabrać. Po pierwsze muszę znaleźć na śmietniku kawałek rury na komin, kawałek blachy na blat, kilkanaście cegieł – „samanów” i znieść to przed chałupę. Następnie muszę znaleźć koński nawóz i rozrobić go z wodą na papkę, którą skleja się „samany” a robi się to ręką. Pouczyli mnie też, że nawóz krowi nie nadaje się do tego celu, gdyż po napaleniu cały piec rozleciałby się pod wpływem żaru. Przydało mi się doświadczenie górskie i wystawiłam piec z dobrym ciągiem, w dobrym kierunku „z wiatrem”, nie dymił i mogłyśmy na nim ugotować ziemniaki czy kluski z czarnej mąki, zużywając stosunkowo mało kiziatu. Jaja jemy na surowo, żeby nie niszczyć witamin. Próbowałam ugotować „szpinak” z lebiody – jadalny chwast – ale nie wyszło. Było obrzydliwe. Herbatę bardzo oszczędzamy, bo mamy jej mało. Zaparzymy szczyptę, suszymy listki po użyciu i używamy je ponownie parę razy a na końcu gotujemy je. Jesteśmy głodne, ale żyjemy jakoś – co będzie dalej? Nie mając pracy nie mogłam kupić chleba, nawet gdybym miała pieniądze i gdyby tutaj był sklep. Kazacy nie mają chleba a żywią się plackami, które pieką z przydziału mąki za przepracowane dni. Nie nadają się oni do pracy na roli i mają mało „trudodni”, dostają też mało mąki. Są niedożywieni. Zresztą w Ak-Buzal nie widać mężczyzn – są tylko starcy, kobiety i dzieci. Jak mogą dać sobie radę? Żeby tylko dostała tę pracę w Georgiewce.

Okazało się, że rodzina Ajszy przeglądała nasze walizki. Nic nie zginęło, po prostu byli ciekawi co mamy. Urządziłam więc im „wystawę” naszych rzeczy. Powyciągałam wszystko z walizek i pokazałam co i do czego służy. Byli zachwyceni, mlaskali językiem, kiwali głowami i było oczywiste, że tą wystawą sprawiłam im wielką przyjemność. Przy tej sposobności zawarłam znajomość z dziewczyną około czternastoletnią, zdaje się, siostrą Ajszy. Chodzimy razem myć się w rowach nawadniających – myjemy się obie oczywiście moim mydłem, co sprawia jej wielką przyjemność. Biedna myje włosy w zimnej wodzie prawie codziennie a ciągle ma wszy. Myśli, że moje mydło jej pomoże. Tłumaczę jej, że nie i staram się przekonać ją, że wszy można wygubić domowymi środkami. Czy zrozumiała mnie, czy mogła dostać choćby wazelinę i ocet, nie wiem. Zresztą nie miała gęstego grzebienia a ja miałam ze sobą tylko jeden. Za to wszyscy tu iskają się nawzajem, jak tylko mają wolną chwilę. Położyć głowę na czyichś kolanach i czuć palce grzebiące we włosach to przyjemność i do tego pożyteczna. Jak u małp.

Dziewczynka chodzi ze mną po stepie i zbieramy kiziak. Chodząc śpiewa kazachskie piosenki, które bym była chętnie zapisała, gdybym umiała pisać nuty. Szczególnie jedna piosenka utkwiła mi w głowie, gdyż wydawała mi się „żywcem” wzięta z Aidy. Może było odwrotnie? Pamiętam tę melodię do dzisiaj i mogę ją z trudem odtworzyć, chociaż nigdy nie nauczyłam się oddać końcowego zawołania – nie mogłam wydobyć z siebie kazachskiego głosu.

Ta sama dziewczynka uczy mnie robić kiziak, opał na zimę. Nie mam pewności czy nie będę musiała zostać w Ak-Buzal przez zimę, więc wolę przygotować się na wszelki wypadek. Zbieramy z matką placki krowie po stepie i co się da z drogi, tylko że jak stado krów przechodzi rano i wieczór drogą wzdłuż chałup, to każda Kazaczka biegnie i zbiera co „upadło” przed jej domem. Muszę więc być bardzo ostrożna, żeby mnie nie oskarżali o „podbieranie” im kizia-ku. Wyszuszony nawóz pozbierany na stepie i świeży, dymiący z drogi, składamy na jedną kupę, dodając parę garści suchej trawy i polewając codziennie paru wiadrami wody. Gdy kupka jest dość duża i poleży parę tygodni, zaczyna się ją przerabiać na kiziak. U bogatszych robi to koń, który uwiązany na sznurze przytwierdzonym do kołka chodzi w kółko aż udepcze wszystko na jednolitą masę – w międzyczasie trzeba ciągle polewać to wodą. U biednych, którzy nie mają konia, a w Ak-Buzal jest takich bardzo dużo, robią to ludzie nogami. Przed zaczęciem deptania polałam moją kupę nawozu kilkoma wiadrami wody, zakasałam spódnicę i bosymi nogami weszłam w chłodną wilgotną masę aż po kolana. O dziwo, zrobiło mi się bardzo przyjemnie! Słońce paliło z góry a ja miałam nogi w chłodnej ciapie, więc chodziłam z zapałem i systematycznie, aby nie ominąć jakiegoś kawałka i rozrobić całość na jednolite „ciasto”. Dziewczęta kazachskie nadzorowały moją robotę i cieszyły się, że uczę się robić ich kiziak. Dobrze, że miałam te nauczycielki, bo np. nie wiedziałam kiedy nawóz jest już należycie rozdeptany i co dalej robić. Pokazały mi, że trzeba tę masę rozplaszczyc łopata na ogromny placek, grubości około 30 cm i zostawić na słońcu na parę dni, aż podeschnie. Wtedy kraje się go łopata na kostki około pół metra i znowu zostawia aż bardziej wyschnie. Gdy kostki są już dość suche, tak że nie rozlatują się, gdy się je podnosi, odwraca się je na drugą stronę. Wreszcie, gdy już wydają się zupełnie suche, ustawia się je pionowo do ostatecznego wyschnięcia. Tu Kazaczki mają pole do popisania się fantazją i ustawiają po parę kostek w różnego rodzaju piramidki. Każda osada kazachska ma swoje

wzory do ustawiania kiziaku i nigdy nie odbiegają zbyt od swej tradycji. Po paru tygodniach zanoszą się kostki do domu i ustawia je ściśle koło siebie pod ścianą domu, po stronie, gdzie się wie, że nie tworzą się w zimie zaspy śnieżne. Posiadłam sztukę robienia opału na zimę, ale ile setek wiader wyciągnęłam ze studni i zniosłam na kiziak, ile razy schyliłam się i jak nadźwigałam się przy zbieraniu kiziaku na stepie i robieniu kostek, to tylko ja wiem. Kostki kiziaku są ciężkie, tak ciężkie jak drzewo, a paląc się dają dużo ciepła. Byłoby trudno obliczyć ile kalorii straciłam przy tej ciężkiej robocie, a ile zyskałam w postaci ciepła na zimę. Pozbierałam też nawóz cielecy na rozpałkę – pali się jak smolaki, wystarczy przyłożyć zapałkę a już bucha niebieskim płomieniem.

Zbliża się lipiec i upał jest coraz większy, z nieba bez chmurki leje się żar, drzew i cienia nie ma. Robię sobie z ręcznika welon, jak Kazaczki, bo boję się, że chodząc po stepie dostanę udaru słonecznego, więc chcę ochronić przynajmniej głowę i kark. Teraz rozumiem dlaczego tu nosi się welony. A muszę iść w step codziennie, żeby przynieść „opał” na ugotowanie jakiegoś posiłku – w welonie jest mi lżej.

Przez całe lato 1940 roku tylko raz była tu burza i padał deszcz, zresztą bardzo krótko. Burza na stepie była wspaniała – z jednej strony na nieboskłonnie wisiały ciemnogrnatowe chmury, a z drugiej strony świeciło słońce i chałupy kazachskie wyglądały pomarańczowo w blasku słońca na tle prawie czarnych chmur. Zaczęły bić pioruny – grzmot za grzmotem przewalał się po stepie, błyskawice rozgałęziały się na połowie nieboskłonu i oświetlały cały step ultrafioletowym światłem. Zaczęłam płakać... przypomniały mi się burze i pioruny w górach. Tu na stepie wyglądało to jeszcze bardziej majestatycznie. Podeszła do mnie stara Kazaczka i z ciekawością dopytywała się – na migi – dlaczego płaczę. Odpowiedziałam jej – też na migi – że przypomnieli mi się dom... stara Kazaczka zrozumiała mnie. A burza szalała po stepie – miałam wrażenie, że stoję na dnie jakiegoś wielkiego garnka, garnka nie a tego świata, który cały dudni. Przyroda pokazała swoją potęgę i piękność, a ja poczułam się pyłkiem. Nigdy nie zapomnę tego uczucia, które przeniosło mnie w jakieś inne wymiary.

Roboty związane z koniecznością utrzymania się przy życiu zajmują mi cały czas. Mieć co jeść, ugotować to i utrzymać się we względnej czystości, to praca na cały dzień – za to noce dają mi odpoczynek. Noce są chłodne i jasne i wtedy ożywa cała osada. Kazaczki rozpalają piece przed chałupami – zwykle robią to stare kobiety, żeby gdy przyjdą z roboty młode kołchożnice, można było zacząć gotować wieczorny posiłek. Koło każdego pieca jest pełno gwaru i śmiechu, a ponieważ chałupy stoją blisko siebie, więc wytwarza się nastrój zebrania towarzyskiego, które trwa późno w noc. Niebo jest wygwieżdżone i jest tak jasno, że można czytać gazetę, więc nikomu nie chce się iść spać do chałupy, gdzie jest gorąco i duszno. Polacy też gotują i odwiedzają się przy swoich piecach i my też mamy towarzyską okazję do czytania listów, czasem gazet i dyskusji.

Jest tu z nami pani T., która została wywieziona z dwoma synami około osiem i dziesięć lat i na razie daje sobie doskonale radę, bo zabrała ze sobą duże ilości herbaty. Zamienia ten „szaj” na mąkę, jaja i mleko i żyje całkiem nieźle, bo Kazacy nie mogą się oprzeć herbacie. Kazaczka, u której mieszka pani T. wyciąga od niej szczyptę po szczypcie, tak po sąsiedzku, nie rewanżując się niczym. Pani T. napisała do Polski i dostała dużą paczkę samej herbaty, która żywiła ją przez długi czas. Gdy herbata skończyła się pani T. z dziećmi zaczęła głodować. Spotkałam ją w zimie 1940/41 roku w Georgiewce i wtedy opowie-

działa mi wzruszającą historię: gdy została bez herbaty zapanował u niej głód, nawet dzieciom nie miała co dać jeść i wtedy gospodyni, u której mieszkała w Ak-Buzał, która wyciągnęła od niej prawie całą herbatę, dała jej prezent – dwa worki mąki. Zaprzyjaźniłam się z panią W., która pracowała w Polsce w restauracji jako kucharka. Pani W. zawsze potrafi coś kupić od Kazachów a ja nie. Zapytałam więc jak ona to robi i dostałam lekcję psychologii od bardzo inteligentnej, choć niewykształconej kobiety. Powiedziała mi, że Kazacy są za dumni, żeby handlować, „to stepowy wolny naród” i trzeba im dać złudzenie, że przychodzi się do nich na wizytę a nie po jaja czy mleko. Należy, po pozdrowieniu, kucnąć obok Kazacha, który zwykle siedzi na progu chaty i ... siedzieć w milczeniu aż do czasu rozmowy, którą Kazach sam zacznie. Czasem trwa to bardzo długo i trzeba mieć dużo cierpliwości. A gdy Kazach coś powie, zwykle łamanym rosyjskim, trzeba podtrzymywać tę rozmowę wtrącając co parę minut jakieś słowo. Przynajmniej po pół godzinie takiej wizyty można zapytać czy ma jajka, nie dodając słowa na „sprzedaż”. Wszyscy już wiemy, że należy się pytać „czemurka bar ma?” (czy masz jajka), gdy chcemy dostać jajka. Stosując tę taktykę, robiąc zdawkowe uwagi o pogodzie, krowach itp. zaczęłam kupować od Kazachów. Że też wcześniej nie zorientowałam się, jaka tu jest etykieta...

Jeden z takich siedzących przed chałupą Kazachów pokazał mi na migi, żeby iść za nim. Zaprowadził mnie w step poza Ak-Buzał i coś mi tłumaczył, czego nie mogłam zrozumieć. W końcu zrozumiałam: „tu kończy się człowiek” i wtedy dopiero spostrzegłam, że całe pole było usiane małymi kurhanikami, bez żadnych znaków czy napisów. Kazach zaprowadził mnie na cmentarz. Oceeniłam okazane mi zaufanie i przyjaźń – chciał mi pokazać gdzie leżą jego przodkowie. „Tu kończy się człowiek” – ładnie powiedziane...

Dostałam wiadomość od brata męża ze Lwowa, że przyszedł do mnie do Lwowa list od mojego męża z niewoli rosyjskiej. Jak potem dowiedziałam się, mój mąż był wtedy w Starobielsku. Brat męża dostał właśnie ode mnie list z Kazachstanu i natychmiast napisał do mojego męża do obozu jenieckiego, podając mu mój kazachstański adres. Mój list nadany w Georgiewce, około dziesięć dni po przyjeździe do Kazachstanu, w tym czasie jeszcze do męża nie doszedł. Listy z niewoli szły około miesiąca, więc list pisany przez męża w marcu 1940 roku doszedł do Lwowa w kwietniu – już po moim wywiezieniu. Jak mi mąż potem opowiadał, w kwietniu i w maju 1940 roku nie pozwolono jeńcom pisać listów. W kwietniu 1940 roku mój mąż był w Starobielsku, w maju został przewieziony ze Starobielska do obozu jenieckiego w Pawliszczew Bor, koło Smoleńska. Stamtąd napisał do mnie do Kazachstanu w czerwcu 1940, gdyż w międzyczasie dostał i mój list z moim „nowym” adresem i list od swojego brata ze Lwowa, który też powiadomił go, gdzie się znalazłam. Pierwszy list od męża, który dostałam bezpośrednio zaadresowany do mnie do Kazachstanu, był pisany w czerwcu 1940 roku w obozie Pawliszczew Bor. Naturalnie mąż podał mi tylko numer wojenny skrzynki pocztowej – nie wiedziałam więc wtedy, gdzie przebywał. List ten dostałam miesiąc potem, gdy już byłam w Georgiewce. Wszystkim jeńcom zabroniono pisać miesięczne listy do rodzin wtedy, gdy obozy jenieckie w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie były likwidowane – dosłownie. Działo się to między drugą połową marca a drugą połową maja 1940 roku. Obozy były likwidowane stopniowo, transporty wyjeżdżały oficjalnie do Polski, do rodzin, „domoj”. Mój mąż oczekiwał kiedy przyjdzie jego kolej powrotu do Lwowa. Wyjechał jednym z ostatnich transportów ze Starobielska i ... ocalał. Na ścianach wagonów pociągu, którym jechał ze Starobielska do Paw-

liszczew Bor, były wydrapane przez poprzednie transporty polskich oficerów w niewoli rosyjskiej, nazwy miejscowości, przez które przejeżdżali. Pociąg męża przejeżdżał przez te same stacje, włącznie ze stacją Gniezdowo, gdzie zostały wylądowane poprzednie transporty, o których zaginął słuch. Transport, w którym był mój mąż też został wylądowany na stacji Gniezdowo, ale jeńców przewieziono ciężarówkami do obozu Pawliszczew Bor a nie do Katynia. Ta garstka oficerów uratowała się. Dlaczego nie spotkał ich los poprzednich transportów, nikt nie wie. Może ktoś „u góry” przestraszył się i nagle zmienił zdanie co do tego, co zrobić z oficerami-jeńcami? W każdym razie ocalała tylko garstka.

Obóz w Pawliszczew Bor był wygodnym i dobrze urządzonym miejscem przetrzymywania jeńców – mieli nawet prześcieradła w łózkach! Obóz ten leżał o parę tylko mil od Katynia... Z obozu w Pawliszczew Bor mój mąż został potem przeniesiony do obozu w Griażowcu, ale to nie zmieniło faktu, że od czerwca 1940 roku pisał do mnie do Kazachstanu regularnie co miesiąc aż do czasu zwolnienia go z niewoli.

Byłam w Gieorgiewce jedną z żon oficerów, która nie straciła kontaktu z mężem w niewoli rosyjskiej. Innym paniom, w tej samej sytuacji co ja, zaczęło wydawać się podejrzane dlaczego ja otrzymuję listu od męża, a one nie, chociaż przed wywiezieniem ich do Kazachstanu dostawały listy od mężów w niewoli. Podejrzewano nawet, że mój mąż przeszedł na „ich stronę” i dlatego pozwolono mu pisać... Mój mąż przeżył niewolę, a ich mężowie nie – ale wtedy w Kazachstanie nikt jeszcze o tym nie wiedział, nikt nie wiedział o Katyniu. Biedne kobiety pisywały regularnie z Kazachstanu do mężów w niewoli rosyjskiej, prosiły krewnych w Polsce o przekazanie mężom ich kazachstańskiego adresu, bo przypuszczały, że ich listy nie były wypuszczane z Kazachstanu. Wszystkie jednak usiłowania nawiązania kontaktu spełzły na niczym. Od kwietnia 1940 roku jeńcy zamilkli a w tym samym czasie wywieziono nas, ich rodziny, do Azji. Dla mnie sprawa Katynia jest oczywista – nie ma żadnych wątpliwości.

W Ak-Buzał nie widać młodych Kazachów – część pracuje gdzieś daleko, a duża większość została zaaresztowana i siedzi w więzieniach i obozach pracy. Kobiety, dzieci i starcy zostawieni bez młodych mężczyzn nie mogą dać sobie rady. Kobiety są drobne, szczupłe, mają maleńkie stopy i ręce o długich cienkich palcach. Ci koczownicy, których Rosjanie przymusowo osiedlili, nie są przygotowani do pracy na roli, ani fizycznie, ani psychicznie. Nie umieją niczego uprawiać i nie mają potrzebnych do takiej pracy sił fizycznych, wskutek czego panuje u nich bieda. Właściwie to żyją z tej jednej krowy, którą wolno posiadać każdej rodzinie – jeżeli rodzina jest duża, nie mają co jeść. Do tego panuje wśród nich gruźlica... Osiedla rosyjskie stanowią duży kontrast – mają pola uprawne, domy wyższe, lepsze niż kazachskie, ludność jest dobrze odżywiona. W okolicy Ak-Buzał jest parę kolchozów rosyjskich; jedną z rosyjskich osad jest Wozniesienka, do której wybrałam się z panią W. na przełaj przez step. Gdy zobaczyłam tam rosyjski kolchoz, te pola, kapustę, ogórki, dynie, to serce krajało mi się na myśl, jak żyją Kazacy. Ludzie tu są dobrze odżywieni, silni i zdrowi, chałupy mają małe ogródki, gdzie są nawet jakieś kwiatki, a przy drodze rosną drzewa, topole. Za Wozniesienką widać pola pszenicy, złocą się w słońcu, a Kazacy zbierają po stepie marną dziką cebulę. Coraz więcej jest mi żal Kazachów – są systematycznie niszczeni.

W Ak-Buzal panuje wielkie poruszenie: odbędzie się ślub – prawdziwy, legalny, „kościelny” ślub! Młodziutka para, wywieziona wraz z rodzicami poznała się w wagonie, którym jechali i pokochali się. Dążą do ślubu, a obie rodziny są w kropce co z nimi zrobić. Sytuację uratował pan B., profesor gimnazjalny, który jechał w tym samym wagonie co ja. Pan B. już w wagonie organizował śpiewy i pilnował żebyśmy głośno i wszyscy razem modlili się, a teraz zajął się problemem ślubu. Widocznie znał się na rzeczy, bo napisał do biskupa we Lwowie, przedstawiając mu całą sprawę i otrzymał pozwolenie na przyjęcie roli księdza w tym wyjątkowym wypadku. Dostał „papierek” z pieczęcią i podpisem biskupa, upoważniający go do udzielenia ślubu. Nie wiedziałam, że Kościół przewiduje takie wyjątkowe okoliczności. W chałupie, w obecności grupy Polaków – świadków, odbył się „kościelny” ślub. Młodzi powtarzali sakramentalne słowa, metryka ślubna została wypisana przez pana B. i upoważnienie biskupa załączone. Byli legalnie poślubieni! Wynajęli od Kazacha izbę bardzo piękną, bo miała tylko ściany a za dach niebo; dużo chałup kazachskich ma takie przybudówki, bo Kazacy lubią spać w lecie pod gołym niebem, w chłodzie, ale zabezpieczeni ścianami przed intruzami. Młoda para spędziła noc poślubną i dużo następnych pod wywieżdżonym niebem, ale ogrodzona od świata murami, przy zamkniętych drzwiach. Niestety straciłam z nimi potem łączność.

Z początkiem czerwca idę znowu do Gieorgiewki do Rajzdrawu, jak umówiłam się z Iwanem Siemionowiczem. Drogę już znam więc idę pewnie. W Wydziale Zdrowia dowiaduję się od Iwana S., że rozmawiał o mnie z Naczelnikiem Wydziału i że jest nadzieja dostania posady. Niestety, Naczelnika dzisiaj nie ma, ale jutro będzie – wobec tego muszę tu zanocować. Idę szukać Polaków, którzy ciągle koczują jeszcze w jakiejś szopie – mieli szczęście, że trafili wprost do Gieorgiewki. Znalazłam ich; bardzo gościnnie przytulili mnie na ziemi i dali coś zjeść. Na drugi dzień zastaję wreszcie Naczelnika – jest to młody człowiek, energiczny, dobrze nastawiony do lekarzy, przyjemny i naturalnie „partyjny”. Nie ma nic wspólnego z zawodem lekarskim, ale jest pełen zapału i inicjatywy. Zrobił na mnie dobre wrażenie i poczułam do niego sympatię – nie zmieniałam mego zdania o nim, gdy potem siedział w kryminale za jakież nadużycia... Siedzenie w więzieniu (tiurmie) to tu rzecz codzienna i nikt się tego nie wstydzi, to tak jak skarcić dziecko klapssem, po odsiedzeniu kary „przestępca” jest z powrotem przyjęty do społeczeństwa.

Naczelnik mówi mi, że tak, zatrudni mnie jako lekarza, „po specjalności”, bo im brakuje lekarzy, ale musi to załatwić urzędowo, więc żebym się zgłosiła do niego za miesiąc. Mimo takiej zwłoki nie miałam wrażenia, że coś kręci, raczej wydawało mi się, że sprawa mojej posady jest na dobrej drodze.

Po załatwieniu najważniejszej dla mnie sprawy resztę czasu spędziliśmy na towarzyskiej rozmówce, to znaczy on mówił, a ja coś bąkałam, starając się, żeby to brzmiało po rosyjsku. Sam palił i poczęstował mnie „kariczkami” – są to posiekane korzenie tytoniu – a widząc, że nie wiem co z tym zrobić, sam skręcił z gazety mały rożek, nasypał dl środka tej kaszki tytoniowej, zagiął koniec tubki i podał mi. Papierosy skończyły mi się od dwóch dni i nie miałam co palić, więc wzięłam od niego z wielką radością. Zapaliliśmy równocześnie, wciągnęłam dym i ... zatkało mnie. Ani wytchnąć, ani wetchnąć! Łzy stanęły mi

w oczach, miałam uczucie, że się duszę. Dym z gazety i z tych krup – to nie żarty. A Naczelnik śmiał się i tak zostałam wtajemniczona w arkana palenia „po rosyjsku”. Potem paliłam to już gładko i nawet nauczyłam się trzymać koniec tubki w rozdwojonej trawce, żeby móc ciągnąć do końca i nie zostawić ani jednej nie spalonej krupki. Nie tylko tytoń, ale i „kariczki” było trudno dostać, i nie mniejsze były trudności z dostaniem gazety. Gazety sprzedawali tylko palącym (kuriaszczym). Gazety te były stare, sprzed tygodnia albo i więcej, ale były bardzo pożyteczne, bo nauczyłam się na nich czytać cyrylicę.

Zapytałam też Naczelnika, co będzie z pozwoleniem na przeniesienie się z Ak-Buzał do Georgiewki, bo zasadniczo nie wolno było nam opuszczać miejsca, do którego nas zesłano, ale Naczelnik tylko roześmiał się i powiedział mi, że bym nikogo nie pytała o pozwolenie, a jak tylko dostanę posadę, że bym tu natychmiast przyjechała. Poradził mi też, że bym sobie teraz znalazła jakieś pomieszczenie, tak, bym miała gdzie zajechać. Jeżeli chodzi o transport z Ak-Buzał do Georgiewki to najlepiej złapać jakąś przejeżdżającą przez wieś lorę. Bardzo uczynny, życzliwy i przyjemny człowiek – jednym słowem „morowy”, czyli po lwowsku „fajny” chłop.

Polacy, u których nocowałam w szopie, mówią mi, że jest tu jakaś pusta chałupa i dają mi adres właściciela. Znalazłam go i łatwo zgodził się na wynajęcie, dał mi też klucz od kłódki, na którą były zamknięte drzwi. Zadowolona, że moja sprawa posuwa się naprzód wracam do Ak-Buzał, ale jest już późno, piąta po południu, więc jest mi trochę nieprzyjemnie, że nie zajdę przed nocą. Na domiar złego ledwie wyszłam poza Georgiewkę w step widzę, że za mną idzie jakiś Kazach. Jest mi nieswojo ale nie mam wyboru – jakoś głupio iść przed nim czy za nim, więc już lepiej zagadać jak do towarzysza, bo i tak muszę być w jego towarzystwie trzy do czterech godzin, a na pewno nie spotkam w stepie żywego ducha, więc może uda mi się tak go nastawić, że jeżeli ma jakieś „złe zamiary” to mu wywietrzeją z głowy. Kazach okazał się zupełnie nieszkodliwy. Rozmawiamy łamanym rosyjskim i dowiaduję się, że jest szoferem ciężarówki w Ak-Buzał – auto zepsuło mu się i zostawił je w Georgiewce a sam wraca do domu piechotą. Każda osada (kołchoz) w stepie ma swoją ciężarówkę, tylko że nikt nie umie koło niej „chodzić” ani jej naprawić. A ciężarówki psują się ciągle – jakoś motoryzacja tu nie wychodzi.

Mój towarzysz – szofer z Ak-Buzał jest poważny, przyjemny i towarzyski, więc przestaję się bać, że mnie zgwałci, zabije albo jedno i drugie. Dochozę do domu bezpiecznie w miłym towarzystwie.

W tym czasie w ZSRR była kara śmierci za zgwałcenie, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Nigdy na zesłaniu nie słyszałam o wypadku zgwałcenia.

Na drugi dzień rano zdarza mi się „tragedia”: u Polaków, gdzie nocowałam w Georgiewce, oblaży mnie wszy! Płakałam po raz drugi – pierwszy raz podczas burzy z tęsknoty za Ojczyzną – i ostatni od czasu przyjazdu na Syberię. Płakałam tym razem z poniżenia i wstrętu. Zdawało mi się, że spadłam na dno, z którego nigdy nie wydostanę się. Dopiero moja matka dodała mi otuchy, pocieszyła i natchnęła nadzieją. Matka zawsze umiała znaleźć odpowiednie słowa i podtrzymać mnie na duchu – a ja płakałam w wagonie, że przez nią mnie wywożą, że jest mi kulą nogi...

Znowu zaczyna się czekanie na posadę w Georgiewce, a w międzyczasie życie toczy się normalnym dla nas obecnie torem: kiziak i jedzenie, to dwa problemy zajmujące cały czas. Czasem ktoś z naszych zachoruje i wtedy mam rozmaitość i satysfakcję, jeśli mogę pomóc. Przyjaźń z panią W. zaczęła się, gdy pani W. dostała ataku kamieni żółciowych. Zawołała mnie, nie spodziewając się, że w tych warunkach ją „uleczę”, ale miała tak silne bóle, że chciała żeby jej choć trochę ulżyć. Tymczasem przeszłam jej oczekiwania! Z dokumentami spakowałam podręczną apteczkę z zastrzykami (i strzykawką) do nagłych wypadków i gdy nas wywozili złapałam to ze sobą: miałam więc odpowiednie zastrzyki, które uzdrowiły panią W. w krótkim czasie. Ataki kamieni żółciowych u pani W nie powtórzyły się więcej, bo była na „kazachstańskiej diecie”, która nie sprzyjała tego rodzaju dolegliwościom. Pani W. chciała mi koniecznie zapłacić za wizytę i zastrzyki. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że w tych okolicznościach mogłabym ciągnąć zyski ze swojego zawodu i mimo jej nalegań odmówiłam przyjęcia jakiegokolwiek zapłaty. Za to zyskałam przyjaciółkę, na której mogłam polegać i która zrobiła mi dużo dobrego. Pani W. zaraz po mnie „uciekła” do Georgiewki, gdzie spędziłam w jej towarzystwie niejedną przyjemną i podnoszącą na duchu (i ciele, bo zawsze częstowała mnie chlebem) godzinę. Ostatni raz widziałam ją w Teheranie w 1943 roku, gdzie przeszła ospę, zresztą bardzo lekką, bo była w dzieciństwie szczepiona.

Drugi lekarski przypadek w Ak-Buzał – to była Kazaczka, której niestety nie mogłam nic pomóc. Mąż jej siedział już od paru lat w więzieniu a Kazaczka była młoda i ładna... zaszła w ciążę. Bała się, że gdy mąż wróci i zastanie ją z dzieckiem to ją zabije. Biedna zwróciła się do mnie o pomoc, której nie mogłam jej udzielić. W parę miesięcy potem, gdy byłam w Georgiewce, dowiedziałam się, że urodziła bliźnięta.

Powoli zaczynamy z matką planować ucieczkę do Georgiewki. Obserwujemy lory, które czasem przejeżdżają przez Ak-Buzał i rozpytujemy się wśród Kazachów jak często i kiedy można złapać ciężarówkę, która by zawiozła nas do Georgiewki. Okazało się, że w pewne dni zawsze można dostać transport, więc wydaje mi się, że nie powinnyśmy mieć trudności z dostaniem się na miejsce. Umawiamy się też ze znajomymi, żeby byli w pogotowiu i przyszli nam pomóc załadować nasze bagaże, gdy przyjdzie „wielki dzień”.

Było to już w lipcu 1940 roku, idę po raz trzeci do Georgiewki, gdzie Naczelnik roześmiany i zadowolony z siebie, oznajmia mi, że dostałam posadę! Mam prowadzić Przychodnię dla kobiet ciężarnych i dzieci do lat pięciu. Posada jest do objęcia natychmiast. Zaraz następnego dnia spakowałyśmy z matką nasze rzeczy, poprosiłam znajomych, żeby do nas przyszli i czekali, a sama wyszłam na drogę łapać ciężarówkę. Dwie przejechały przez Ak-Buzał, ale jechały w innym kierunku. Trzecia, jaką zatrzymałam, jechała do Georgiewki a szofer przyjemny i przyjacielski Rosjanin powiedział, że bardzo chętnie podwiezie nas. Zajechał przed dom Ajszy, gdzie już czekali nasi znajomi, aby nam pomóc załadować się i nie trwało to dłużej jak pięć minut a znalazłyśmy się z matką i bagażem na lorze, która natychmiast ruszyła. Gdy koło domu Ajszy zrobił się ruch, przybiegł priesiedatiel, zaczął coś krzyczeć i nawet pobiegł za lorą, ale szofer nie był w ciemni bity, a ja, pouczona przez Naczelnika, nie miałam zamiaru dać się nastraszyć i zatrzymać. Lora przyspieszyła i za minutę Ak-Buzał

znikł mi z oczu. Nikt nigdy nie dochodził dlaczego opuściłam miejsce zesłania nie zapytawszy się o pozwolenie.

W Ak-Buzał spędziłam trzy miesiące wśród Kazachów i polubiłam ten naród – współczułam im i ciągle współczuję. Niektóre ich zwyczaje, które raziły mnie, były tylko wynikiem ich sposobu życia na stepie. Siągali nos w palce, ale tak umiejętnie, że nigdy nie zabrudzili sobie rąk, a wydzielina lądowała daleko, robili to na zewnątrz, nigdy w chałupie. Za to nasze używanie chustki do nosa bardzo ich brzydziło – nie mogli zrozumieć, jak możemy nosić przy sobie taką obrzydliwą rzecz, dotykać jej i jeszcze do tego pracować.

Nie było klozetów, chodziło się do rowów poza domami, ale rowy te nie cuchnęły: w lecie paliło słońce i w bardzo szybkim czasie wysuszało odchody na kamyczki – przykładem jest panna Zosia, która pozbierała je na opał – w zimie mróz wszystko naśtychmiast ścinał, a śnieg przykrywał, a do czasu jak śnieg stopniał nie było śladu nieczystości. Poza tym oprócz tych rowów służących jako klozety, cała osada była pokrajana rowami nawadniającymi, przez które w lecie puszczano wodę i te rowy irygacyjne regularnie spłukiwane wodą były bardzo czyste. Za pierwszą potrzebą Kazacy szli w step z czajnikiem napełnionym wodą do obmycia rąk. Mężczyźni nie stali a klękali, żeby ich nie było widać w płaskim stepie.

Wszy mają prawie wszyscy, specjalnie na głowie... ale od czego jest towarzyska czynność iskania się wzajemnie? Trzymali wszy pod kontrolą i nie byli bardzo zawszeni.

Chałupy kazachskie są niskie, do połowy wkopane w ziemię, okna bardzo małe tuż nad ziemią, sień i kręte korytarze prowadzące do izb mieszkalnych są tak dobrze przystosowane do tamtejszego klimatu, jak tylko można. Chałupy budowane są z samanów, tzn. dużych bloków wyschniętej ale nie wypalanej gliny i pomazane z zewnątrz grubą warstwą krowiego nawozu. W lecie jest w nich chłodno, a w zimie ciepło. Podłoga, tzw. klepisko, posmarowane jest nawozem krowim i ma szklistą powierzchnię, bez kurzu. Żyli tak czysto i higienicznie jak tylko im warunki na to pozwalały.

W okolicy, dokąd byłam wywieziona, są teraz wyrzutnie sputników i ładują astronauty. Co stało się z Kazachami! Czy ich przesiedlono? A jeżeli zostali na miejscu to czy i jak zmienili się pod wpływem nowej „kultury”? Ale step pozostał. Są to za duże przestrzenie, aby je zabudować i zaludnić. Jak w pierwszych tygodniach po wywiezieniu tęskniłam za widokiem drzew, tak potem tęskniłam za widokiem i zapachem bezbrzeżnych przestrzeni stepowych. Stojąc na stepie miało się wrażenie, że stoi się na środku morza suchej trawy, przykrytego kłosem niebieskiego nieba. Nie mam zrozumienia dla poezji, ale często zbierając kiziak powtarzałam sobie na głos „Stepy Akermańskie” Mickiewicza, gdyż wiersz ten oddaje wiernie nastrój stepowy. Step to poczucie przestrzeni i wolności a jednocześnie utożsamienie się z przyrodą – na stepie człowiek czuje, że jest częścią tej potęgi a równocześnie i pyłkiem tylko. Oprócz kiziaku zbierałam z kazachskimi dziećmi dziką cebulę, zobaczyłam też, że na stepie rosną dzikie szparagi, czyżby to była ich ojczyzna? Step dawał życie: bydło, opał, materiał do budowy domów. Jak bardzo jest mi żal Kazachów, że są biedni i głodni, a mogliby być syci i szczęśliwi, gdyby im na to pozwolono. Żaden Kazach nigdy nie skrzywdził

mnie ani nie zrobił mi żadnej przykrości i nie słyszałam też nigdy o takim przypadku wśród moich znajomych.¹

¹ Tekst jest przedrukiem z książki: D. Tęczarowska, *Deportacja w nieznane. Wspomnienia 1939-1942*, Londyn 1981.